

Kronika tygodniowa.

No i nareszcie mamy zimę i to w całym tego słowa znaczeniu, to jest z mrozem i śniegiem, choć święta Barbara wcale się nie spisała, nie była bowiem ani „po wodzie, ani po lodzie“, nie wiadomo więc, jakie będzie Boże Narodzenie. Choć, powiedzmy prawdę, tego rodzaju przepowiedniom wierzyć nie można, gdyż w ubiegłym roku zawiadły nas najzupełniej, jak to na własne oczy stwierdziłem w swych astronomicznych zapiskach, które prowadzę bardzo skrupulatnie od dłuższego czasu.

Dla naszych panów narciarzy i saneczkarzy zaczyna się więc miłe czasy, zdaje się, że i lekarze, zajmujący się zestawianiem potłuczonych rąk i nóg, zacierają także ręce, zbliża się bowiem i dla nich okres wzmożonej wprawdzie pracy, ale też i wzmożonych dochodów.

Sportem zresztą mało się zajmuje, jako człowiek starej daty, zestawiając go dla młodszych.

Natomiast polityka więcej mnie interesuje, zwłaszcza nasza krajowa. Sejm obraduje, to jest komisje pracują z wyteżeniem, zwłaszcza zaś komisja reformy wyborczej i kto wie, czy wreszcie nie doczekamy się tej, tak dawno upragnionej niespodzianki, jako prezentu gwiazdkowego. Korespondencje ze Lwowa stwierdzają, że można mieć nadzieję, iż dojdzie już raz do porozumienia.

A byłby już czas najwyższy, biedna autonomia galicyjska kuleje bowiem i gwałtownie potrzebuje zreformowanego podkucia.

Ba, nie tylko u nas przebąkują o zgodzie, to samo mówią i o stosunkach politycznych w Czechach, czyli, innymi słowami, jeśli tu i tam da się doprowadzić do równowagi, hrabia Stürgkh odetchnie, bo i austriacki parlament będzie raz przecież zdolnym do pozytywnej pracy.

Jeśli się to wszystko spełni, nie będziemy złożyć pamięci feralnego roku 1913, który dotąd dawał nam się we znaki. Ale przecież „koniec dzieła chwali“.

Co do spraw politycznych, to zaznaczyć należy najzupełniejsze zaćmienie gwiazdy pana Jana z Pacyliku, od którego odwróciła się większość jego „umandatuowanych“ zwolenników. Pozostało ich zaledwie kilku, którzy oświadczyli, że i nadal będą się również jak dotąd silnie trzymać poły jego surduta.

List otwarty, ogłoszony przez grono posłów ludowych, malujący w bardzo drastycznych kolorach działalność byłego trybuna, będzie, zdaje się, kamieniem grobowym jego politycznej kariery.

Urońmy nad nim łzę i rzeknijmy nabożnie: „Niechaj mu będzie lekka ta ziemia, w której obrobie przepłynęło tyle tysięcy koron!“

Jeśli więc kto może narzekać na feralność roku 1913, to w każdym razie pan Jan, ale niech go to pociesza, że równocześnie prawie padł i król Ferdynand bułgarski i też się nie podźwignie. Patrząc zezem, kierując jedno oko na północ, drugie na wschód i to mu poważnie zaszkodziło... Zawsze to jednak przyjemniej, jeśli się znajdzie towarzysza niedoli i to do tego koronowanego!

Śmieją się niemieccy humoryści i malują biednego Ferdzia z kufierkiem w ręku na dworcu sofjskim, jak pyta portyera o informację, czy też mu nie wiadomo, kto teraz panuje w Bułgarii.

Niedługo trzeba się także będzie wybrać i do Albanii na instalację nowego księcia z rodu Wied, na którego osobę zgodzili się już podobno mocarstwa, choć nie mogą dojść w żaden sposób do porozumienia co do granic przyszłego księstwa, czy nawet królestwa, bo pretendent oświadczył, że jeśli ma awansować, to już od razu na króla, nie wypada bowiem, by był o rangę niższy od swych bałkańskich sąsiadów, między którymi już ani jednego księcia nie uświadczy... Chyba, że wykroją jeszcze księstwo macedońskie, bo i na ten tron znalazłoby się wielu amatorów.

Bardzo rzadko zdarza mi się w kronice poruszać sprawy wojskowe, jako iż jestem zdeklarowanym antimilitarystą, nie mogę przecież nie wspomnieć o tem, że dzięki właśnie armii, mają kłopoty dwaj sąsiedzi, którzy silą się na to, by jeden miał sprawniejszą, jak drugi.

Ka dy się domyśli, że mowa tu o Francji i Niemczech.

Pan prezydent Poincaré, który na wojnie zna się tak samo, jak i ja, ma sporo zmartwienia z jenerałem Fauri, byłym komendantem szesłastego korpusu. Panu temu podziękowano za usługi, twierdząc, że nie dorósł do swego stanowiska, on, aby się swym przełożonym odwdziżyć, zaczyna ogła-

szać rewelacje, z których dowiaduje się Francja, a z nią cały świat, że sztab jeneralny republiki jest cały w kupę wzięty, jakoby powiedział cesarz Wilhelm, *für die Katz!*...

Niemcy zacierają więc ręce, boć to woda na ich młyn. Oni byliby zadowoleni, gdyby cały sztab jeneralny francuski składał się z samych kretyków i matolek.

Co jednak mnie dziś, to tobie jutro! Spełniło się to przysłowie właśnie na samych Niemcach, którym nawarzył bigosu alzackiego nie jenerał nawet, ale najzwyczajniejszy porucznik, pan Forstner z dziewięćdziesiątego dziewiątego pułku piechoty, stacyonowanego w Saverne.

Chłopaczek ten, mający dopiero projekt i miejsce na wasy, okazał przecież tyle wojowniczości i wyładował ją w tak ordynarny sposób, iż obraził nie tylko ludność alzacką, ale nawet i Francję.

Gdyby to potem bodaj był uznał swój błąd i siedział cicho! Ale gdzież tam! Odezwała się w nim prawdziwa krzyżacka krew, zaczął dalej prowokować spokojną ludność, a bezpośredni jego przełożeni, zamiast natrzeć mu uszu, poszli mu na rękę i stanęli w obronie rzekomo obrażonego honoru armii pruskiej, która przecież wydała takie znakomitości z swego łona, jak n. p. kapitana z Köpenicku.

Nastąpił więc w Saverne rządzący soldateski. Spokojnych obywateli, kobiety, ba nawet i dzieci aresztowano bezprawnie i więziono bez wyroku, sądowego w piwnicach koszar, a nie znalazł się nikt, kto by tej hydrze ośmielił się uciąć głowę. Tem bułniej ją też podnosiła...

Doszło do tego, że parlament musiał stanąć w obronie podeptanej konstytucji, tam jednak i minister wojny (temu się nie dziwimy, wszak on żołnierz...) i kanclerz, Bethmann Hollweg, tak niejasne i wykrętne dali odpowiedzi, że temu ostatniemu większością i to znaczną uchwalono votum nieufności.

Insty kanclerz byłby sobie wziął to do serca i poprosił o dymisy, pan Bethmann pojechał tylko do Donaueschingen, gdzie wówczas bawił na wywczasach cesarz Wilhelm, aby się poskarżyć swemu władcy.

Ten wysłuchał, poklepał go po ramieniu i rzekł: — Bethmańciu! Nie rób sobie nic z tego! Niech tam sobie gadają, co im się podoba, my będziemy rządzić, jak nam się podoba! Do mojej dzielnej armii niech mi nosa nie pchają! Nie bierz sobie do serca, choć ci nawymyślali! Bądź wyższym nad to, co niższe!...

Jak na razie, na tem się skończyło, pan Forstner jeszcze ciągle przebywa w Saverne, nie pokazuje się jednak publicznie, bojąc się owacy ze strony Alzackich, którzy należycie uczcili tymczasowo tylko pewnego wachmistrza za to, iż obraził ich narodowe uczucia.

Święta to prawda, co powiedział pewien jegomość, bogaty w doświadczenie życiowe, że kogo Pan Bóg chce ukarać, temu rozum odbiera!

Cudowny przykład mamy na poruczniku Forstnerze, który przecież sam uważa się za bohatera narodowego, mogącego stanąć w jednym rzędzie z figlarzem z Köpenicku.

Chwały jej obaj chyba nie przysporzą!

Dowiedziawszy się o tych „przewagach“ armii pruskiej, postanowił jegomość sułtan poprosić cesarza Wilhelma, aby mu przysłał instruktorów, którzyby podnieśli ducha w jego dzielnych zastępach, co tak się w wojnie bałkańskiej chlubił odznaczyć.

Propozycję przyjęto, nad Bosfor wyjechał jenerał Lieman i objął dowództwo nad korpusem konstanyopolitańskim. Ale to się znów nie podobało innym mocarstwom i kto wie, czy nie byłoby doszło do tego, że każdy korpus turecki miałby swego komendanta w osobie jakiegoś zagranicznego jenerała. Potem powinny się te korpusy pobić ze sobą i w ten sposób rozwiązany byłby problem wojny europejskiej.

Ostatecznie zgodzono się na to, reorganizację armii tureckiej zaczyna Niemcy, Anglikom zostawiono starania o flotę, o tą, która pływać ma po morzu i o tą, której na jej wybudowanie potrzeba...

A właśnie ta ostatnia jest najbardziej potrzebna.

Wojny jednak nie należy się obawiać, skreśliła jej bowiem łeb słaba niewiasta, niejaka pani Ida Böhm z Drezna, która wynalazła jakiś proszek, odurzający na kilka godzin. Proszkiem tym ma się wypełniać granaty, które, pękając, wydzielają gaz, pozabawiający żołnierzy na dłuższy czas przytomności. Odurzeni popadają w sen na kilka godzin.

Ze względu na ogólne zajęcie, jakie obudziła w Krakowie ankieta, ogłoszona przez jedno z pism codziennych p. t. „Czy wierzy pan (pani) w duchy?“, postanowiłem i ja zająć się tym tematem, zwłaszcza, że od jednej z przyjaciółek otrzymałem list, w którym, przejęta widocznie artykułami w tej materii,

zawiadamia mnie o nadzwyczajnej przygodzie, jakiej sama doznała.

Aby nie uronić nic z treści owego listu, pozwolę go sobie dosłownie przytoczyć.

Brzmi, jak następuje:

„Wielmożny Panie Kronikarzu! Ponieważ od dawna zajmuję się badaniami spirytystycznymi i stanowczo wierzę w duchy, pozwolę sobie opowiedzieć Panu fakt z mojej młodości, za którego autentyczność zaręczam.

Działo się to w kilka tygodni, cztery, może pięć, gdyż nie przypominam sobie dokładnie, po wybuchu ostatniej wojny francusko-pruskiej (1870—1871), w której i mój cioteczny szwagier brał udział, jako porucznik armii niemieckiej.

Pewnego wieczora rozmawialiśmy o nim podczas kolacji, zwłaszcza, że od dłuższego czasu nie mieliśmy od niego żadnej wiadomości.

Pod wrażeniem tej rozmowy udałam się dobrze już po jedenastej do swojego pokoju na spoczynek. Choć wówczas, młodą będąc panią, sypiałam zazwyczaj doskonale (nie tak, jak dzisiaj niestety!), dłuższy czas nie mogłam zasnąć. Zgasiałam świecę, którą miałam zawsze pod ręką, różne myśli wytrącały mi przecież z równowagi umysłowej...

Wtem doszedł mych uszu głos zegara miejskiego, który wydzwaniał północ. Bezpośrednio potem usłyszałam jakiś dziwny stuk, powtarzający się systematycznie, a przypominający tykanie zegarka. Pochodził on z pod łóżka.

Chwilowo sądziłam, że to tylko złudzenia słuchowe, przekonałam się jednak, że tak nie jest!

Zimny pot wystąpił na me czoło, chrząknęłam głośno, aby sobie dodać odwagi... Tajemnicze stukanie ustało, w niespełna minutę rozpoczęło się jednak na nowo!

Nie jestem tchórzem, ale przyznam się, że dusza moja, była, jak to powiadają na ramieniu, jeśli nawet nie gdzieś dalej!

Zderydowana na wszystko, gwałtownym ruchem ręki chwytam świecę i zapalki, robi się jasno...

Spoglądam pod łóżko i niech Pan zgadnie, co tam znajduję?

Służąca, która znana była z niedbalstwa, zamiatając rano, zostawiła dwie zapalki. Leżały one jedna na drugiej, przypominając huśtawkę, jakiej zwykłe używają nasi chłopcy. Oczom wierzyć nie chciałam, klęknęłam jednak na wszystko, że, co piszę, jest prawdą!... Na jednym końcu górnej zapalki siedziała sobie jedna mała nika pchełka, na drugim druga i huśtały się w najlepsze!

Skąd się tam wzięły, nie wiem, uciekły jednak, gdy zbliżyłam się ze świecą.

Zdarzenie to zapamiętałam sobie dokładnie, a potem, porównując daty, przekonałam się, iż miało ono miejsce właśnie w sam dzień bitwy pod Gravelotte, w której szwagier mój został ranny.

Długo myślałam nad tem, jaki związek mogą mieć oba fakty, niestety, nikt mi tego wytłumaczyć nie potrafił.

A jak Pan zapatruje się na to?...

Odpisałem naturalnie, że związku żadnego dopatrzeć się nie mogę, choć się domyślam, skąd się tam wzięły te sympatyczne stworzonka, nieodstępne towarzyszkę falban i koronek. Sądzę, że moja interpelantka nie będzie miała nic przeciw temu, jeśli do wiadomości ogółu podam to ciekawe zdarzenie.

Lwów
Jagiellońska 15.
Nowo wykwintnie urządzone
CUKIERNIA BIENIECKIEGO
LOKAL WSPANIAŁY
FOLCJA: znakomity kawę, herbata, czekolade, torty, ciast, owoce
Lody, chłodniki, kofeiny, i konfitury.
Przyjmując zamówienia miejscowe i na prowincję.
Jagiellońska 15
Lwów

IKA-ABADIE
TUTKI ZE STERYLIZOWANĄ WATĄ
Papier ten wyrabia się z najdelikatniejszych włókien roślinnych bez domieszek farbowych, wyłącznie we fabrykach „Société Abadie w Paryżu“
Papier ten pali się lekko i równo i nie wywołuje żadnego drapania w gardle.